Walter M. Miller

Chodzący

(The Hoofer)

Fantastic Universe, September 1955
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

Powrót wędrowca z odległego kraju, do żony i rodziny, może być wspaniałym przeżyciem, czymś w rodzaju drugiego miesiąca miodowego. Albo na to wydarzenie może rzucić swój długi cień, bezlitosna tyrania Czasu, powodująca że zmiany jakie nastąpiły w czasie jego nieobecności, prowadzą tylko do tragedii i rozpaczy. Ta rzadkiej wnikliwości, ciepła i ludzka opowieść nowej gwiazdy na polu fantastyki naukowej, opowiedziana jest w niewymuszony sposób, a jej zręczny finał zadziwi wszystkich.

Kosmiczni włóczędzy nie powinni obciążać się rodziną. Ale co ma robić pełen wigoru człowiek w rozkwicie młodości — jeżeli jego serce szarpie tęsknota za domem?

Wszyscy domyślali się, że wrócił właśnie z kosmosu, o czym wyraźnie świadczyły białe odciski po goglach, na spieczonej przez słońce twarzy. Tak więc tolerowali go i pomagali mu jak mogli. Przymykali nawet oczy na jego zachowanie, kiedy zataczał się i padał w przejściu między fotelami autobusu, ścigając, siedzenie za siedzeniem, znękaną, niewielką gospodynię domową, przypochlebiając się jej i próbując ją zmusić, aby usiadła i porozmawiała z nim.

Kiedy w końcu upadł na dobre, zdecydował się uciąć sobie drzemkę w przejściu. Dwóch mężczyzn pomogło mu wrócić na tył autobusu, ułożyło go wygodnie na tylnym siedzeniu, chowając bezpiecznie poza zasięgiem jego wzroku, należącą do niego butelkę ginu. Pomimo wszystko, nie widział Ziemi od dziewięciu miesięcy i sądząc po skorupach otaczających jego powieki, nie byłby w stanie zobaczyć ją za dobrze, również i teraz, i to nawet gdyby był trzeźwy. Ślepota wywołana jaskrawym blaskiem słońca, kosmiczne nogi i agorafobia, były usprawiedliwieniem dla wielu rzeczy, kiedy człowiek wrócił właśnie z Bezdennej Otchłani. Któż mógłby winić takiego człowieka za to, że zachowuje się nieco dziwnie?

Kilka minut później, był już z powrotem w przejściu i kołysał się niebezpiecznie nad małą gospodynią domową.

– *Ep*! – czknął. – Ja, Wódz Złamane Skrzydło. Czszy maszsz ochotę odrobinę indiańskich zapasów?

Dziewczyna, siedząca i spoglądająca nerwowo na niego, uśmiechnęła się blado i pokręciła przecząco głową.

– Ssszpokojnie, moja gołąbeczko – czule wybełkotał, zwalając się na siedzenie obok niej.

Dwóch mężczyzn ześlizgnęło się ze swoich foteli i zacisnęło mu dłonie na ramionach.

– No dalej, Wodzu, lepiej chodź z powrotem do łóżka.

– Nazywam się Hogey – odparł. – Wielki Hogey Parker. Tylko ższszartowałem z tym Indianinem.

– Taaa. Chodźmy, przepłuczemy sobie gardło. – Postawili go na nogi, i poprowadzili go, zataczającego się, przez przejście.

– Moja mama była na wpół Chszerokee, wiecie? Stąd się wzięło to, co powiedziałem. Chszczecie usłyszeć okrzyk wojenny? To autentyk.

– Daj sobie spokój.

On jednak przystawił dłonie do ust i uraczył ich mrożącym krew w żyłach dowodem swojego pochodzenia, na co podróżujące autobusem kobiety, wystraszone podskoczyły i skuliły się w swoich fotelach. Kierowca zatrzymał autobus i przeszedł na tył, ostrzegając go przed dalszymi popisami. Kierowca mignął odznaką służbową i zagroził mu oddaniem w ręce policjantów z najbliższego posterunku.

– Ja tylko muszszę dostać szię do domu – odpowiedział mu Wielki Hogey. – Właśnie urodził mi szię syn, to dlatego tam wracam. Rozumieszsz? Mój malutki okruszszek, mój synek. Jeszcze go nawet nie widziałem.

– A więc będziesz siedział cicho i spokojnie, co?

Wielki Hogey skinął gorliwie głową.

– Przephaszam, panie władzo. Nie miałem zamiaru sprawiać żadnych kłopotów.

Kiedy autobus ponownie ruszył, położył się na boku i spokojnie leżał. Przez pewien czas wydawał dźwięki, jakby zbierało mu się na wymioty, ale potem zasnął, delikatnie pochrapując. Kierowca obudził go na stacji przy skrzyżowaniu Caine'a, wyciągnął zza fotela jego butelkę ginu, a następnie pomógł mu przejść do przodu i wysiąść z autobusu.

Wielki Hogey zataczał się przez chwilę, a potem twardo klapnął na żwirowe pobocze drogi. Kierowca zatrzymał się z jedną nogą na stopniu samochodu, rozglądając się dookoła. Na skrzyżowaniu dróg, nie było nawet sklepu, jedynie budynek magazynu, po drugiej stronie linii kolejowej, parę rozrzuconych domów farmerów, wzdłuż poprzecznej drogi i, dokładnie po drugiej stronie drogi głównej, opuszczona stacja benzynowa, ze zwisającym dachem. Dookoła rozciągały się Wielkie Równiny, pofałdowane, bezdrzewne i jałowe.

Wielki Hogey pozbierał się na nogi, i zataczając się, obszedł przód autobusu, przytrzymując się go, aby się nie przewrócić i upuścił swoją torbę z szorstkiego materiału.

– Hej, uważaj na samochody! – ostrzegł go kierowca. Czując napływ niechętnego współczucia, kierowca obszedł swojego sprawiającego kłopoty, pasażera, wziął go pod ramię, a tamten natychmiast się na nim uwiesił. – Chcesz przejść?

– Taaa – wymamrotał Hogey. – Daj mi szszpokój, ze mną wszszystko w porządku.

Kierowca zaczął przeprowadzać go przez autostradę. Ruch był raczej niewielki, ale szybki i niebezpieczny, zwłaszcza na środkowym pasie ruchu o szybkości dziewięćdziesięciu mil.

– Ze mną wszszystko w porządku – nie przestawał protestować Hogey. – Ja pływam w nieważkości, wieszsz? A teraz dorwała mnie grawitacja. Cholerna grawitacja. Nie jestem przszyzwyczajony do grawitacji, wieszsz? Przszyzwyczajony jestem do pływania –– *ep*! –– tyle że teraz muszę chodzić na nogach. Liczy się tylko m-ły Hogey. Wieszsz o m-łym Hogeyu?

– Tak. Twój syn. Chodź dalej.

– Słuchaj, ty maszsz syna? Założę się, że maszsz syna.

– Mam dwoje dzieci – powiedział kierowca, łapiąc torbę Hogeya, która właśnie wyślizgnęła mu się spod ramienia. – Dwie dziewczynki.

– Słuchaj, powinieneść być w domu z dzieciakami. Męższczyzna powinien trzymać się swojej rodziny. Powinieneść znaleźć sobie inną robotę. – Hogey popatrzył na niego mądrym sowim wzrokiem, kiwając wyciągniętym moralizatorsko palcem, i poślizgnął się na żwirze, kiedy tylko wkroczyli na przeciwległe pobocze, ponownie wywracając się jak długi.

Kierowca wypuścił z płuc zmęczone westchnienie, popatrzył na leżącego mężczyznę i pokręcił głową. Być może jednak lepiej będzie, znaleźć jakiegoś policjanta. Ten facet, szwędając się tak luzem, może w końcu zrobić sobie jakąś krzywdę.

– Czy ktoś ma tu się z tobą spotkać? Spytał, rozglądając się zmrużonymi oczyma, po okolicznych pokrytych pyłem wzgórzach.

– *Ep*! –– co, ze mną? – Hogey zachichotał, beknął i pokręcił przecząco głową. – Nie. Nikt nie wie, że przszyjechałem. Nieszszpodzianka. Miałem być już tydzień temu. – Popatrzył do góry, na kierowcę, z wyrazem bólu na twarzy. – Tydzień spóźnienia, wieszsz? Marie będzie urażona –– ho-ho –– jak ona musi być urażona! – Skierował, z winą, głowę do ziemi.

– Którą drogą idziesz? – kierowca niecierpliwie chrząknął.

Hogey wskazał głową wzdłuż bocznej drogi, która w oddali prowadziła na wzgórza.

– Tam gdzie mieszszkają rodzice Marie. Wieszsz gdzie? Jakieś trzszy mile stąd. Muszę iść na piechotę, jak sądzę.

– Nie rób tego – ostrzegł go kierowca. – Usiądź sobie tam przy mostku, dopóki nie złapiesz jakiejś okazji. Dobra?

Hogey skinął nieszczęśliwie głową.

– Tylko nie wchodź na drogę – ostrzegł go kierowca, a potem pośpiesznie wrócił przez autostradę. Parę chwil później, napędzane baterią atomową silniki, żałośnie zabuczały i autobus potoczył się dalej.

Wielki Hogey zamrugał za nim oczyma, pocierając się po karku.

– Mili ludzie – powiedział do siebie. – Cała banda miłych ludzi. I wszszyscy chodzący.

Z chrząknięciem szarpnął się i wstał, ale jego nogi nie chciały dobrze działać. Wytężając cały swój refleks pływaka próżniowego, walczył

szaleńczo wymachując ramionami, żeby ustabilizować swoją pozycję, ale grawitacja pochwyciła go w swe objęcia i potykając się wpadł do rowu.

– Przszeklęte nogi, cholerne zwariowane nogi! – zawołał.

Na dnie rowu było mokro, więc popełznął w górę jego zbocza na mokrych, zabłoconych kolanach, i po chwili ponownie usiadł na poboczu. Butelka ginu była na szczęście nienaruszona. Pociągnął długi, gorący łyk, który rozgrzał go aż po czubki palców u nóg. Obrzucił wzrokiem wynędzniały i bezdrzewny krajobraz.

Słońce już niemal zaszło, ogniście czerwone, na zakurzonym horyzoncie. Niebo pocięte było krwistymi smugami, które rozpływały się w stronę zenitu siarczanymi żółciami, tak że samo powietrze wiszące nad ziemią, wydawało się być wypełnione żółtym dymem, wszechobecnym pyłem wielkich równin.

Ciężarówka jakiegoś farmera skręciła w boczną drogę i z jękiem pomknęła dalej, a jej kierowca ledwie spojrzał na ciemny kształt młodego człowieka, który chwiejąc się siedział na swojej torbie z szorstkiego płótna, koło mostka. Hogey niemal nie zauważył przejeżdżającego pojazdu. Siedział tylko, wpatrując się w to obłąkane słońce.

Pokręcił przecząco głową. To nie było prawdziwe słońce. Słońce, to prawdziwe, było nienawistnym, wypalającym oczy koszmarem w zupełnie czarnej otchłani. Zalewało wszystko bolącą czystą bielą, i człowiek mógł widzieć otoczenie tylko dzięki zadającemu ból oczom, odbitemu światłu. To grube, czerwone słońce, było najzwyklejszym oszustwem, i już nigdy nie da się na nie nabrać. Nienawidził go za to, co jak wiedział, znajdowało się pod tą krwawą maską, i za to co zrobiło jego oczom.

Z chrząknięciem, pozbierał się znowu na nogi, udało mu się narzucić na ramię płócienną torbę i ruszył środkiem drogi prowadzącej do farm, zataczając się od jednego jej brzegu, do drugiego, wbijając wzrok w rozciągające się w oddali pagórkowate tereny. Kolejny samochód skręcił w boczną drogę, gniewnie trąbiąc.

Hogey próbował odwrócić się aby na niego popatrzeć, ale zapomniał przesunąć swój punkt oparcia. Zatoczył się i upadł na nawierzchnię drogi. Opony samochodu zapiszczały na rozgrzanym asfalcie. Hogey leżał przez chwilę, jęcząc. Tym razem jego biodro to poczuło. Drzwi samochodu trzasnęły i jakiś wielki facet z bogato udekorowaną bliznami twarzą, podszedł do niego, wyglądając na solidnie rozzłoszczonego.

– Facet, co u licha się z tobą dzieje? – wycedził przez zęby. – Jesteś ululany? Człowieku, aleś ty naprawdę się zaprawił.

Hogey z zawziętością pozbierał się z ziemi, kręcąc przecząco głową, żeby to wyjaśnić.

– Kosmiczne nogi – użył wymówki. – Mam kosmiczne nogi. Nie są w stanie utrzymać mojego ciężaru.

Krzepki farmer podał mu jego butelkę ginu, w cudowny sposób ciągle całą.

– To jest ten twój ciężar – chrząknął. – Posłuchaj, człowieku, lepiej idź do domu, pronto.

– Pronto? Hej, słuchaj, ja nie jestem żadnym Mexem. Naprawdę. To kosmiczna opalenizna. Słyszałeś o tym?

– Taaa. No dobra, powiedz mi, kim ty jesteś? Czy mieszkasz gdzieś tutaj?

Oczywiste było, że wielki farmer wziął go za robotnika sezonowego, albo włóczęgę. Hogey pozbierał się w końcu.

– Idę na farmę Hauptmanów. Marie. Znasz może Marie?

Brwi farmera uniosły się.

– Marie Hauptman? Pewnie, że ją znam. Tylko… ona teraz nazywa się Marie Parker. Już niemal od sześciu lat. Słuchaj… – Przerwał, a potem opadła mu szczęka. – Czy przypadkiem, nie jesteś może jej mężem?

– To ja, nazywam się Hogey. Wielki Hogey Parker.

– A niech mnie…! Wsiadaj do samochodu. Będę przejeżdżał koło farmy Hauptmanów. Stary, nie powinieneś iść pieszo w tym stanie.

Uśmiechnął się cierpko, pokręcił z niedowierzaniem głową i pomógł załadować się Hogeyowi i jego torbie, na tylne siedzenie. Na przedzie, obok farmera, siedziała sztywno jakaś kobieta o pomarszczonej przez słońce skórze na szyi. Nie przywitała pasażera w żaden sposób, nawet nie obejrzała się w jego stronę.

– Teraz już nie robi się takich samochodów, jak ten – farmer przekrzyczał warkot starożytnego silnika benzynowego i zgrzytanie biegów. – Możesz kupić tylko nową atomówkę, z całym tym ładunkiem gorących izotopów pod siedzeniem. Mnie tam wydaje się, że to nie może być bezpieczne… co, Martho?

Kobieta ze spieczoną przez słońce szyją, nieznacznie skinęła głową.

– Taki samochód był dostatecznie dobry dla taty, i sądzę że jest dostatecznie dobry również i dla nas – żałośnie wycedziła przez zęby.

Pięć minut później, samochód zatrzymał się przy poboczu drogi.

– Stąd, chyba dasz już radę dojść pieszo – stwierdził farmer. – Tamta droga, przed tobą, jest do Hauptmanów.

Pomógł Hogeyowi wyjść z samochodu i odjechał, nie oglądając się nawet, by sprawdzić, czy Hogeyowi udało się ustać na nogach. Kobieta ze spieczoną przez słońce szyją, nagle rozpoczęła jakąś dłuższą tyradę w jego stronę.

Robił się już zmrok. Słońce właśnie zaszło i żółte niebo zaczęło zmieniać kolor na szary. Hogey był za bardzo zmęczony, żeby pójść dalej, a nogi nie były w stanie go już dłużej utrzymać. Obrzucił wzrokiem otaczający go teren, udało mu się skupić wzrok i znalazł miejsce, które wyglądało jak gospodarstwo Hauptmanów, na odległym stoku wzgórza. Był to duży, kwadratowy budynek, otoczony przez porośnięte zbożem pola i kilka wymizerowanych drzew. Kiedy go zlokalizował, wyciągnął się w wysokiej trawie, za rowem, aby trochę odpocząć.

Gdzieś w oddali poszczekiwały psy, a świerszcz w trawie monotonnie wygrywał swoją melodię. W pewnej chwili rozległ się odległy grzmot rakiety, startującej z położonej sześć mil na zachód wyrzutni, lecz szybko

ucichł. Samochód z A-silnikiem z jękiem przejechał drogą, ale Hogey pozostał niezauważony.

Kiedy się obudził, była już noc i drżał z zimna. Żołądek skrzeczał mu z głodu, a nerwy pulsowały najwyższym napięciem. Usiadł i próbował wymacać swój zegarek, ale po chwili przypomniał sobie, że zastawił go po grze w pokera. Wspomnienie gry, a przede wszystkim jej wyniku, wywołało u niego grymas na twarzy, przygryzł więc wargi i zaczął po omacku szukać butelki.

Po długim łyku, przez chwilę siedział, ciężko oddychając. Wyznaczanie czasu i pozycji, stało się już jego drugą naturą, ale musiał przez chwilę pomyśleć, ponieważ jego uszkodzony wzrok nie pozwalał mu zobaczyć półksiężyca Ziemi.

Na późno-sierpniowym niebie, Wega znajdowała się niemal prosto nad jego głową, stąd wiedział, że nie minęło dużo czasu od zachodu słońca –– prawdopodobnie była mniej więcej ósma. Pokrzepił się kolejnym łykiem ginu, podniósł się na nogi i wrócił na drogę, czując lekkie otrzeźwienie po drzemce.

Kulejąc ruszył po asfalcie i skręcił w lewo, w wąską drogę, prowadzącą między ogrodzeniami z drutu kolczastego, w stronę zabudowań farmy Hauptmanów, położonych pięćset jardów, lub coś koło tego, od głównej drogi, przechodzącej koło farmy. Pola po lewej stronie, należały do ojca Marie, wiedział o tym. Był coraz bliżej –– coraz bliżej domu, kobiety i dziecka.

Nagle upuścił torbę i oparł się o słupek ogrodzenia, wciskając twarz w przedramiona i dławiąc się spazmami powietrza. Cały się trząsł, a żołądek aż mu się skręcał. Pragnął odwrócić się i uciec stąd jak najdalej. Pragnął odczołgać się w trawę i ukryć się w niej, głęboko.

Co oni powiedzą? A Marie, Marie przede wszystkim. Jak miał jej powiedzieć o pieniądzach?

Sześć wypadów w kosmos i za każdym razem obietnica brzmiała tak samo: *Jeszcze jedna tura, moja droga, i będziemy mieli wystarczająco dużo, a potem będę mógł już odejść od tego na dobre. Jeszcze tylko ten jeden raz i będziemy mieli już uskładane –– wystarczająco dużo, aby otworzyć jakiś mały interes, albo kupić dom na hipotekę, a ja znajdę jakąś robotę*.

A ona czekała, ale pieniędzy nigdy nie było wystarczająco dużo, aż do tego razu. Tym razem, wyprawa miała trwać dziewięć miesięcy i zapisał się na wszystkie loty ze stacji do bazy księżycowej, aby zebrać premie. I tym razem mu się udało. Jeszcze dwa tygodnie temu, miał w banku cztery tysiące osiemset. A teraz…

– Dlaczego? – jęknął, uderzając czołem o przedramiona. Ręka ześlizgnęła mu się i trafił głową prosto w czubek słupka od płotu, a ból oślepił go przez chwilę. Zatoczył się do tyłu, na drogę, z przyciszonym rykiem, otarł pot z czoła i gwałtownie kopnął torbę.

Ta potoczyła się parę jardów wzdłuż drogi. Skoczył za nią i kopnął ją ponownie. Kiedy to zrobił, stał zasapany i rozgniewany, ale czuł się już lepiej. Zarzucił torbę na ramię i powędrował w stronę domu.

Oni są chodzącymi, to wszystko… po prostu bandą uwiązanych do Ziemi chodzących, nawet Marie. A ja jestem pływakiem. Pływakiem z urodzenia. Wiecie, co to znaczy? To znaczy… Boże, co to znaczy? To znaczy być tam, w tej Bezdennej Otchłani, gdzie Ziemia wygląda jak przerośnięty Księżyc i pokryta jest, rozrastającą się na niej, rozmytą pleśnią. To wszystko, czym jesteście, tylko pleśnią.

Zaszczekał pies i zastanowił się, czy czasami nie myślał na głos. Podszedł do bramy w ogrodzeniu i zatrzymał się w ciemności. Droga zakręcała wokół wzgórza, docierając na jego szczyt, od strony frontowej domu. Może właśnie siedzieli na ganku. Może już go usłyszeli, wiedzą że się zbliża. Może…

Ponownie zadrżał. Wyciągnął z kieszeni płaszcza zero siedemdziesiątkę piątkę ginu i potrząsnął nią. W środku ciągle była jeszcze ponad ćwiartka. Zdecydował się wykończyć ją. Nie mógł przecież pójść do domu, ze sterczącą z kieszeni butelką. Stał więc tam, na chłodnym nocnym wietrze, pociągając z niej i przyglądając się czerwonawemu księżycowi, który właśnie wzeszedł na wschodzie. Księżyc wyglądał na równie sztuczny i nieprawdziwy, co zachodzące słońce.

Wyprostował się z nagłą determinacją. Kiedyś i tak będzie musiało to w końcu nadejść. Trzeba z tym wszystkim skończyć, trzeba z tym skończyć, natychmiast. Otworzył bramę w ogrodzeniu, prześlizgnął się przez nią i pewnie zamknął ją za sobą. Wziął torbę i zaczął cicho brnąć przez wysoką trawę, aż w końcu dotarł do żywopłotu, oddzielającego obszar porośnięty mizernymi drzewami brzoskwiniowymi, od pól. Jakoś udało mu się przejść przez żywopłot, i ruszył między drzewami, w stronę domu. Potknął się o jakieś stare deski, które zastukotały mu pod nogami.

– Ćśśś! – syknął i ruszył dalej.

Psy zaczęły gniewnie ujadać i usłyszał trzaśnięcie drzwi wejściowych. Zatrzymał się.

– Hej, tam! – od strony domu doleciał badawczy męski głos.

Jeden z braci Marie. Hogey stał jak sparaliżowany w cieniu drzewa brzoskwiniowego, czekając na rozwój sytuacji.

– Jest tam ktoś? – zawołał ponownie mężczyzna.

Hogey odczekał chwilę, a potem usłyszał mruczenie mężczyzny:

– Chyba mi odbija, cholera, chyba mi odbija.

Ujadanie psa stawało się coraz bardziej zajadłe. Zwierzę nadbiegło po zboczu i zatrzymało się dziesięć stóp od niego, spinając się do ataku i szaleńczo szczekając na skryty w ciemności cień. Znał tego psa.

– Hooky! – wyszeptał. – Hooky, malutki… chodź do mnie!

Pies przestał ujadać, zaczął węszyć, podbiegając bliżej i wygaszając pojedyncze:

– Rrrooff!

Potem znowu zaczął podejrzliwie węszyć.

– Spokojnie, Hooky, leżeć, malutki! – wyszeptał.

Pies w milczeniu zrobił kilka kroków do przodu, obwąchał mu rękę i zaskomlił, rozpoznając go. Potem okrążył Hogeya sapiąc z psiego uczucia i podskakując zapraszająco, żeby się z nim trochę pobawić. Od strony

ganku doleciał gwizd mężczyzny. Pies zastygł w bezruchu, a następnie szybko pokłusował z powrotem w górę zbocza.

– Nic tam nie ma, co Hooky? – powiedział mężczyzna na ganku. – Pewnie znowu goniłeś pancerniki?

Drzwi ponownie trzasnęły i światło na ganku zgasło. Hogey stał wpatrując się w ciemność, nie mogąc zebrać myśli. Gdzieś, za rozświetlonymi oknami byli… jego żona i syn.

Co u diabła robi pływak próżniowy z żoną i synem?

Upłynęła może minuta, zrobił ponownie kilka kroków do przodu. Potknął się o łopatę i stopa wpadła mu w coś, co plusnęło i połknęło mu ją aż po kostkę. Upadł na brzuch, na stertę piasku, a stopa pogrążyła się głębiej w mokrą jamę.

Leżał tak, kryjąc piekące czoło w ramionach, cicho przeklinając i płacząc. W końcu przetoczył się na bok, wyciągnął nogę z dziury i zdjął buty. Pełne były błota –– oklejającego wszystko błota z piasku.

Ciemność wokół niego kołysała się jak szalona, a wiatr odbierał mu oddech. Upadł z powrotem na stertę piasku, pozwolił stopom ponownie zanurzyć się w błotnistej dziurze i poruszył w niej palcami. Śmiał się bezgłośnie, podczas gdy twarz na wietrze była zupełnie mokra. Nie był w stanie myśleć. Zapomniał kim jest, gdzie i dlaczego. Przestał się tym wszystkim przejmować i po chwili poczuł się już dużo lepiej.

Gwiazdy przepływały nad nim, szaleńczo tańcząc, zaś błoto chłodziło mu stopy, a piasek na którym leżał był mięciutki. Dostrzegł kolejną rakietę, lecącą w górę, z tryskającymi z ogona płomieniami odrzutu. Czekał na huk jej startu ale zanim doleciał do jego uszu, już spał.

Było już dobrze po północy, kiedy odzyskał świadomość i poczuł psa, liżącego mu mokrym językiem ucho i policzek. Odepchnął zwierzę od siebie, z cichym przekleństwem, i otarł bok twarzy. Poruszył się i zajęczał. Stopy go wręcz paliły! Próbował podciągnąć je do siebie, ale nie ruszyły się. Coś złego stało się z jego nogami.

Przez chwilę rozglądał się dzikim wzrokiem po otaczających go ciemnościach. Potem przypomniał sobie gdzie jest, zamknął oczy i wzdrygnął się. Kiedy znowu je otworzył, zza chmur właśnie wyłonił się księżyc, i mógł wyraźnie dostrzec okrutną pułapkę, w którą przypadkowo wpadł. Stos starych desek, starannie ułożona sterta nowego drewna, kilof i szufla, kupa piachu, sterty świeżo wykopanej ziemi, oraz betoniarka –– no tak, to wszystko układało się w jedną całość.

Chwycił się za kostki i mocno pociągnął, ale stopy nawet się nie poruszyły. Z nagłym strachem próbował wstać, ale jego kostki były również uwięzione w betonie i ze stłumionym jękiem na ustach, upadł z powrotem na piasek. Leżał nieruchomo przez kilka minut, zastanawiając się głęboko.

Pociągnął za swoją lewą stopę. Tkwiła mocno, jak w imadle. Pociągnął, nawet jeszcze bardziej rozpaczliwie, za prawą stopę. Tak samo, była nie do ruszenia.

Usiadł z jękiem i próbował rozrywać szorstki beton, aż połamały mu się paznokcie i zaczęły krwawić opuszki palców. Powierzchnia betonowej masy ciągle wydawała się mokra, ale podczas jego snu stwardniała.

Siedział tak, oszołomiony, aż do chwili, gdy Hooky zaczął lizać jego poobcierane palce. Odepchnął ramieniem psa od siebie i zaczął wycierać dłonie w pasek, aby powstrzymać krwawienie. Hooky polizał go po twarzy, dysząc z miłości.

– Idź sobie – wykrakał szaleńczo.

Pies cichutko zaskomlał, odbiegł na niewielką odległość, zatoczył małe kółko, i wrócił, żeby położyć się tuż przed Hogeyem, wyciągając się badawczo w jego stronę.

Hogey chwycił pełne garście piachu, zmielił w zębach przekleństwo, podczas gdy jego oczy wędrowały po niebie. Spoczęły w końcu na niewielkiej drzazdze światła –– stacji kosmicznej –– wschodzącej właśnie na zachodzie, lecącej przez Bezdenną Otchłań, na której była cała banda – – Nichols, Guerrera, Lavrenti i Fatts. Nie wspominając nawet o Kesseyu, żółtodziobie, który go zastąpił.

Kessey będzie w najbliższym czasie przeżywał trudny okres –– ciężki jak jasna cholera. Otchłań, to nie piaskownica dla dzieci. Już za pierwszym razem, kiedy człowiek wychodzi w skafandrze ze stacji, Otchłań go dopada. Wszystko wokół niego spada, a on spada razem z tym. Wszystko. Stalowe kratownice, opono-kształtna stacja, jej wszystkie sfery, doki i rozmaite inne elementy o kształtach jak z sennego koszmaru –– połączone razem przez pępowiny kabli i elastycznych rur. Wygląda to jak jakiś szalony morski potwór, unoszący się w czarnym oceanie, którego macki splątane zostały przez dryfujące prądy ciemnego przypływu, niosącego go ze sobą.

Wszystko było tam albo jaskrawo jasne, aż do bólu, albo zupełnie czarne. I wszystko obracało się wokół człowieka, doprowadzając go do szaleństwa, kiedy próbował określić, w którą stronę jest dół. Prawdę mówiąc, trzeba było kilku miesięcy, aby nauczyć ciało, że dół jest ze *wszystkich* stron, oraz że otchłań nie ma dna.

Nagle uświadomił sobie, jęczący dźwięk niesiony przez wiatr, i znieruchomiał, nasłuchując go.

To był płacz dziecka.

Minęła niemal minuta, zanim zrozumiał jego znaczenie. Uderzyło go poczucie miejsca, w którym był i zaczął szaleńczo szarpać za swoje uwięzione stopy, z tłumionym cichym szlochem w gardle. Gdyby pozwolił wyrwać mu się na głos, mogliby go jeszcze usłyszeć. Przestał i zakrył uszy, żeby odciąć się od płaczu swojego pierworodnego. W domu zapaliło się światło, i kiedy ponownie zgasło, płacz niemowlęcia ucichł.

Kolejna rakieta wystartowała z wyrzutni i przeklął ją gorzko. Kosmos był chorobą, a on był na nią chory.

– Pomóżcie mi! – nagle krzyknął. – Jestem tu uwięziony! Pomocy, pomóżcie mi!

Wiedział, że wrzeszczy w histerii, na wiszące mu nad głową niebo, walcząc z nieustępliwym betonem, który pochwycił jego stopy, i po chwili przestał.

Światło w domu ponownie się zapaliło, i usłyszał jakieś przyciszone odgłosy. Ogólne poruszenie, znowu obudziło dziecko, i lekki wietrzyk przyniósł do niego kolejne dźwięki niemowlęcego płaczu.

Niech to dziecko w końcu się zamknie, niech to dziecko w końcu się zamknie…

Ale to nie miało sensu. To nie była wina dziecka. To nie była wina Marie. Ojcom nie wolno latać w kosmos, tak mu powiedzieli, ale to nie była również ich wina. Oni wszyscy mieli rację, a jedyną osobą, którą powinien winić, był on sam. Dziecko było efektem przypadku, ale to nie mogło niczego zmienić. Podobnie jak i nic innego na świecie. To była, jest i będzie, tragedia.

Pływak próżniowy, nie powinien obciążać się rodziną, ale co mężczyzna ma na to poradzić? Chyba wziąć nóż myśliwski i uczynić z siebie eunucha. Ale to również nie miało sensu. Oni, tam na górze, w otchłani, potrzebowali byków, a nie wołów. A kiedy człowiek wracał na dół, z dorocznego wypadu, co miał zrobić? Zamknąć się w pustelni i dla rozrywki czytać książki? Jeżeli ktoś jest mężczyzną, to szuka kobiety. A ponieważ ona jest kobietą, więc efektem jest dziecko, i to już jest koniec wszystkiego. To nie była niczyja wina, zupełnie niczyja.

Wpatrywał się w czerwony punkcik Marsa, wiszący nisko, na południowym wschodzie. Właśnie zaczęli na niego latać i w przyszłym roku mógłby być na długim, długim rejsie…

Ale nie było sensu o tym rozmyślać. Przyszły rok, podobnie jak i lata następne, należały do *małego* Hogeya.

Siedział tam, z nogami uwięzionymi w twardym betonie, w ziemi, wpatrując się w Wielką Otchłań, podczas gdy od strony domu dolatywał płacz dziecka, a mężczyźni Hauptmanów brnęli w jego stronę przez wysoką trawę, szukając tego, kto tak krzyczał. Jego stopy były mocno uwiezione, i nie mógł nawet odesłać ich do diabła. Kiedy go znaleźli, tylko szlochał ściszonym głosem.

KONIEC